19 X 38 CENA 25 GR

SPORT POLSKI

ROK II TYGODNIK Nr 42

POLONIA — WARTA



Jankowiak wyłapuje centrę Jaźnickiego



DOKĄD IDZIE SPORT KOBIECY?

Casus Ratjen postawił znów na porządku dnia kwestię sportu kobiecego; w szeregu enuncjacji prasowych zaczęto wyrażać obawy co do jego przyszłości, powiątpiewać w sens jego istnienia, zastanawiać się nad tym, jak go ratować od zguby, jak uwolnić go od przykrej atmosfery ironicznych uwag i złośliwych kpin, na które narażane są coraz częściej niewiasty, które mają nieszczęście w ćwiczeniach sportowych celować.

Po wypadkach Koubkowej, Smętkówny, Ratjen i kilku innych, mniej znanych — każda kobieta, która ustanowi rekord, posądzana jest automatycznie o to, iż jest chłopcem. Niby nie jest to żadna obelga — przynajmniej w oczach przedstawicieli płci brzydkiej — ale zawsze nieprzyjemnie, szczególnie gdy się ma narzeczonego... lub takiego poszukuje.

Faktem jest, iż wygląd zewnętrzny większości rekordzistek do tego rodzaju wniosków nieuniknienie przyprowadza. Wąskie biodra, niski głos, zarost, szorstkie ruchy, kanciasta budowa twarzy — to wszystko zdaje się być regułą u sław sportu kobiecego.

Inaczej zresztą być nie może. Sport zawodniczy, sport rekordowy wymaga cech męskich, wymaga siły, wytrzymałości, energii, silnie rozwiniętego instynktu walki. Z natury rzeczy więc będą w nim zawsze celowały jednostki o bardziej męskim nastawieniu psychicznym i bardziej męskiej budowie fizycznej.

Zachodzi tedy pytanie, czy sport zawodniczy w formie obecnej, wzorowanej na sporcie męskim, ma rację bytu. Z jednej bowiem strony pozwala osiągać sukcesy jedynie półkobietom, z drugiej zaś — to nie ulega najmniejszej wątpliwości — półkobiety wytwarza.

Nie ulega wątpliwości, że kobieta współczesna w bardzo wielu wypadkach do „męskości" dąży. Trochę na skutek źle pojętego dążenia do „równouprawnienia", najwięcej zaś ze względów praktycznych, dyktowanych warunkami walki o byt.

Te warunki ogólne, które uczyniły, iż kobieta coraz częściej pracuje — fizycznie i umysłowo, jak mężczyzna i razem z mężczyzną, musi więc wykazywać się cechami, charakterystycznymi dla przedstawicieli płci silnej — zdążyły już uczynić, iż różnice psychiczne, a za nimi różnice fizyczne pomiędzy kobietą a mężczyzną coraz bardziej się zacierają. Podobnie, na skutek bądź co bądź coraz wygodniejszych warunków egzystencji, coraz bardziej ułatwionego fizycznie życia, coraz większej abstrakcyjności walki o byt — i mężczyzna staje się, ogólnie biorąc, coraz bardziej „zniewieściały", coraz mniej chropowaty; dzisiejszy robotnik niewykwalifikowany śpi przecież na łóżku miększym niż te, na jakim spoczywał król Jagiełło, i ma na sobie o wiele delikatniejszą w dotyku koszulę. Poza tym, jeździ tramwajem, a nie tłucze się na siodle.

Tak więc moralne i materialne warunki bytu współczesnego prowadzą do coraz wyraźniejszego zrównania kobiety i mężczyzny pod każdym względem. Mężczyzna przestaje być niedźwiedziem, kobieta — lalką. Ma to jednak i złe strony: za dużo zaczyna być operacji „w związku ze zmianą płci". Tu obserwujemy biologiczne cofnięcie się; bo przecież gatunki hermafrodytyczne, gatunki jednopłciowe, a raczej bezpłciowe spotykają się tylko na najniższych szczeblach drabiny hierarchicznej świata zwierzęcego. Gatunki wyższe cechuje właśnie wyraźne zróżniczkowanie.

Sport, jako jeden z czynników budujących przyszłość rasy ludzkiej, musi to brać pod uwagę. Musi zbytniemu zbliżaniu się typów fizycznych kobiety i mężczyzny przeciwdziałać. Musi być tu, tak samo jak w szeregu innych wypadków, korektywem.

Jak to może uczynić? Po prostu — skierowując zainteresowania sportowe przedstawicielek płci tzw.

słabej w stronę inną, niż idą zainteresowania mężczyzny. Równocześnie jednak — w dalszym ciągu przyczyniają się do wzmocnienia fizycznego, do przybytku na zdrowiu i do rozwoju twardych cech charakteru, których istnienie u kobiety nie zagraża w niczym jej kobiecości, a tylko zwiększa jej wartość, jako „człowieka".

Stąd wniosek: sport kobiecy iść winien raczej w kierunku „sportowania", nieprzymuszonego, przyjemnościowego uprawiania ćwiczeń ruchowych, w stronę turystyki (nawet najbardziej niebezpiecznej), w stronę gier i zabaw, starannie oczyszczonych od bakcyla walki „na śmierć i życie", zerwać winien z haszyszem namiętnego dążenia do rekordu, które stanowi dla silnego organizmu męskiego zdrową podnietę, dla kobiety zaś jest trucizną.

Jakże miał rację ś. p. Coubertin, kiedy wypowiadał się kategorycznie przeciw udziałowi kobiet w Igrzyskach Olimpijskich, które były przecie najbardziej umiłowanym jego dziećkiem! Jakże daleko patrzał w przyszłość, jak dobrze widział!

WIKTOR JUNOSZA.

NARYBEK PIŁKARSKI A KLUBY

Na łamach „Sportu Polskiego" omówiono już dość obszernie sprawę narybku i stwierdzono, że jest go pod dostatkiem, tylko brak wychowawców. Takie jednak stwierdzenie ani **nie wyczerpuje zagadnienia, ani nie zaradzi brakom.**

Prawdą jest, że narybek nie jest należycie wychowywany, ale grubą przesadą jest opinia, jakoby brakowało wychowawców. Zaś zarzut wytykający klubom sportowym brak zainteresowania narybkiem oraz nieumiejętność wychowywania jest zbyt pochopny, zwłaszcza jeśli godzi w większe kluby sportowe, organizacyjnie silniejsze.

Właściwych powodów lichego przygotowania młodzieży do sportu należy szukać **wśród niej samej.**

Próżność sprawia, że młodzi chłopcy garną się chętniej tam, gdzie mogą od razu znaleźć się na świeczniku. Zwłaszcza w piłce nożnej młodziutki gracz chciałby jak najprędzej rozgrywać mecze w lepszym zespole i **z wyższą klasą.** Dlatego mając do wyboru np. III-cią drużynę znanego klubu sportowego a I „Triumfatora", zwykle wybiera on „Triumfatora". Bo przecież to piękniej brzmi: gracz I-szej „Agrafki" niż III-ciej „Warty" czy „Ruchu". A także więcej się liczą z graczem I-szej drużyny niż III-ciej, która w większym klubie nic nie ma do gadania. To też wielu obiecujących graczy wstępuje w szeregi małych klubików i **marnuje tam swój talent, bo tam prezesem** i trenerem zarazem jest jakiś łasy na honory kibic, nie mający zazwyczaj pojęcia o prawdziwym sporcie. Tam nie ma nauczyciela ani wychowawcy, tam brak wszelkich warunków rozwoju, za to jest wiele okazji do wypaczenia się pod względem moralnym i obyczajowym.

Nie bez wpływu na wybór takiego właśnie klubiku, a nie dobrze zorganizowanego klubu, pozostaje obawa przed następstwami za przekroczenie znanego zakazu władz szkolnych w sprawie należenia uczniów do klubu sportowego. O ileż bowiem łatwiej ukryć się w zespole nie rzucającym się nikomu w oczy, niż w klubie gromadzącym na swoim boisku tysiące publiczności, a wśród niej nauczycieli, profesorów, dyrektorów!

Więc pierwszeństwo mają klubiki.

Tymczasem większe kluby sportowe, posiadające wcale piękne boiska, szatnie, natryski, instruktorów, trenerów i wszystko to, co potrzebne jest do racjonalnego uprawiania sportu, **pozbawione są dopływu utalentowanych sił.** Zaledwie drobny odsetek zgłaszającej się młodzieży przedstawia większą wartość, ogromna reszta to jednostki, nie rokujące lepszych wyników. Ale pomimo tego, dzięki usilnym staraniom wychowawców, ci słabsi fizycznie chłopcy, pod względem techniki i taktyki tak się rozwijają, że w walce ze swoimi rywalami z klubików, nie tylko im dorównują, ale często ich przewyższają zdecydowanie. W takiej walce wrodzonych zdolności z wyćwiczonymi widzi się wyraźnie, co znaczy wykształcenie sportowe i technika, ale też jaką wartość przedstawia fizyczna siła i talent. I aż prosi się połączenie tych walorów, które przeważnie chodzą osobno, z ogromną szkodą dla sportu.

Stan, jaki wytworzył się u nas w związku z tym, jest nienaturalny. Tam, gdzie nie ma należytych warunków rozwoju, spotyka się świetny materiał ludzi, tam zaś, gdzie one istnieją, mało jest takich, którzy by dzięki nim osiągnąć mogli najwyższy poziom.

Kluby zdają już sobie sprawę ze szkodliwości tego stanu i zaczynają dążyć do jego zmiany. Miejsce dotychczasowego biernego oczekiwania na naturalny przypływ dobrego narybku powoli zajmują usiłowania wprost przeciwne. Dziś już **wychodzi się naprzeciw młodzieży.** I tak — zamożniejsze kluby użyczają młodziutkim adeptom sportu inwentarza, dają im opiekę, urządzają dla nich odpowiednie treningi a nawet urządzają zawody, nie wymagając wzamian za to ani opłat ani podpisania deklaracji. W ten sposób powstają przedszkola sportowe przy klubach, zaprawiające na przyszłych sportowców chłopców od 8—14 lat.

Ale nie wszyscy mogą być członkami dobrze zorganizowanych klubów. Wielka część młodzieży będzie nadal skupiać się w klubikach.

Aby nie dopuścić do zmarnowania talentów nie wystarcza skaperowanie tego i owego przez lepszy klub, nie wystarcza też nauka, jaką klubiki pobierają przy sposobności rozgrywania meczów z niższymi drużynami sportowo silnych klubów.

Także obozy juniorów organizowane przez PZPN i okręgowe związki nię wiele pomagają klubikom, jako **zbyt krótkie** co do czasu trwania. Poza tym przeważnie biorą w nich udział juniorzy najlepszych klubów, a więc element wychowany i wykształcony już racjonalnie przez trenerów.

Jest rzeczą konieczną znaleźć środki, by dobre metody treningu stały się udziałem także tych małych i biednych klubików, gromadzących u siebie tak obiecujący narybek.

W tym celu PZPN i każdy związek okręgowy powinien utrzymywać instruktorów i trenerów, którzy by objeżdżali swoje rejony i organizowali kursy dla instruktorów z pośród działaczy sportowych oraz treningi dla wszystkich tych, którzy nie mogą pozwolić sobie na trenera i tylko w ten sposób mogą zdobyć potrzebne wykształcenie sportowe.

Jeśli by na przestrzeni całej Polski utworzyła się taka sieć **ognisk wiedzy sportowej,** cały nasz narybek piłkarski dostałby swoich wychowawców a nasze piłkarstwo ruszyłoby naprzód wielkimi krokami.

Dziki futbol zrobiłby wreszcie miejsce kulturalnemu.

Edmund Marion.



„PIERWSZY ŁYSY"... I ZWYCIĘZCA MARATONU

O NIEDOCENIANYCH WYSIŁKACH I ŚMIESZNEJ PRZESADZIE.

Sport jest jeden, ale ma różne działy więcej, lub mniej wartościowe, bo choć w każdej dziedzinie sportu znajdują się te same pierwiastki, układ ich jest rozmaity. Można po prostu mówić o większej, lub mniejszej procentowości **istotnej treści sportowej** w rozmaitych działach i konkurencjach. Większego wysiłku mięśni i napięcia nerwowego potrzeba do odniesienia zwycięstwa w ringu bokserskim, niż do wygrania partii golfa, daleko większym wymaganiom tak pod względem fizycznym jak i psychicznym sprostać musi kolarz szosowy, niż łyżwiarz figurowy — to chyba jasne. Ceniąc sport w ogóle i uprawiając wszystkie jego odmiany, nie możemy jednak nie widzieć tych różnic, musimy cenić pewne gałęzie sportu wyżej, niż inne.

Tymczasem dziś, w okresie szybkiego już wzrostu zainteresowań sportowych, w czasach, kiedy sport wielkimi krokami zmierza do powszechności, z nadmiaru entuzjazmu zaczyna się często tracić trzeźwość oceny zdarzeń, wpadając z jednej strony w śmieszną przesadę, z drugiej zaś niedostatecznie oceniając **rzeczy dużej wagi.**

Czytałem kiedyś notatkę, zredagowaną przez pewną panią, a dotyczącą popularyzacji sportu łuczniczego. Wiedziałem, że jest to sport bardzo przyjemny i godny, aby go polecić każdemu, ale dopiero z tej notatki dowiedziałem się, że strzelanie z łuku harmonijnie rozwija muskulaturę, wyrabia piękną postawę i — co najważniejsze — hartuje i wyrabia silną wolę! Nie chcę tu urazić nikogo z łuczników, ale owa pani w szlachetnym swoim zapale niedaleką była od tego, aby dopisać jeszcze, że strzelanie z łuku w dzieciach rozwija zdolności matematyczne, a starszym doskonale robi na porost włosów.

A tymczasem z drugiej strony —

W czwartkowym „Przeglądzie Sportowym" umieszczono fotografię Marynowskiego z wieńcem na ramionach, w ręku trzymającego jakąś plakietę. Dzielnego maratończyka spotkałem przypadkowo akurat wtedy, gdy jechał przez miasto z tymi właśnie dowodami rzeczowymi swego poznańskiego triumfu. Dowiedziałem się, że to był już jego czwarty start w maratonie, przy okazji też obejrzałem nagrody. O wieńcu nie ma co mówić w ogóle, a o plakiecie z jakiejś imitacji marmuru, z niezbyt precyzyjnie wykonaną płaskorzeźbką — też nie dużo.

— Co pan dostał jeszcze? — zapytałem.

— Nic, to wszystko...

Aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień, powiedzmy sobie jeszcze po raz tam któryś, że sportu **nie uprawia się, nie powinno się uprawiać dla nagrody.** Nie nagroda jest celem walki szczerego sportowca, tylko chęć wykazania swojej wartości i wyższości nad przeciwnikiem, czy groźnymi siłami natury. Gdy już jednak istnieje zwyczaj obdarzania zwycięzców, należy to czynić w sposób **przemyślany i sprawiedliwy.** Jeśli wspominałem o tym, że trzeba uznać różną procentowość treści sportowej w rozmaitych działach sportu, czy poszczególnych konkurencjach, to chyba bieg maratoński jest jedną z najcięższych prób w konkurencjach unormowanych przepisami, wymaga kolosalnego wysiłku mięśni i woli. Tegoroczny maraton był już piętnastym rozegranym o mistrzostwo Polski. Proszę policzyć, ilu ludzi w Polsce poważyło się w ciągu tych piętnastu lat na start w tym gigantycznym biegu i ilu taki bieg skończyło? Nie miałem czasu sprawdzić tych rzeczy dokładnie, ale nie będę daleki prawdy, jeśli przyjmę, że trasę maratonu przebyło u nas **zaledwie około 100 biegaczy.** Tylko stu ludzi z tylumilionowego narodu. Stu ludzi ożywionych duchem prawdziwego sportu, którzy swą wielką walkę wygrywają **nie przed natłoczonymi trybunami, a na pustych, jak w tym roku było, chlastanych wichrem i deszczem drogach.**

Jeszcze raz powtarzam, że nie nagroda jest celem walki prawdziwego sportowca, ale jesteśmy wszyscy obowiązani do **uszanowania** wielkiego sportowego wysiłku i jeśli jest zwyczaj obdarowywania zwycięzców jakimiś pamiątkami, wręczajmy im rzeczy choć nie kosztowne, ale piękne, artystyczne. Zwycięzca biegu maratońskiego nie może otrzymywać wieńca jak na trumnę i skromniutkiej plakietki! Z jednej strony niedocenianie naprawdę dużego wyczynu, z drugiej — śmieszna przesada.

Śmieszna przesada, gdy np. na zawodach sportowych dla personelu tej, czy innej instytucji zbiera się **tyle wysokowartościowych nagród** (rowery, karabinki, radioaparaty, zegarki, srebrne papierośnice, nesesery itp.), że wręcza się je nie tylko temu, który zajął pierwsze miejsce, ale obdarowuje się jeszcze pierwszego kawalera, pierwszego wdowca, pierwszego blondyna i pierwszego łysego! Mistrzostwo w maratonie jest i musi być czymś więcej, niż mistrzostwo w ping-pongu! Zachowajmy trzeźwość sądu i sprawiedliwie klasyfikujmy wartość sportowego wyczynu. Nie podzielajmy zdania tej pani, która strzelanie z łuku polecała jako środek na wyrobienie silnej woli, bo wtedy możemy rzeczywiście łatwo dojść do przekonania, że maraton to takie bezsensowne bieganie, które nie tylko, że nie wyrabia pięknej postawy, ale wprost rujnuje zdrowie i pokutuje w sporcie tylko dzięki zamiłowaniu do tradycji i nieuzasadnionej bliżej żądzy naśladowania Phillipidesa.

Zwycięzca tegorocznego maratonu przywiózł do domu wieniec i plakietę. Ciekawy jestem, **jakie pamiątki przywiozło pozostałych siedmiu,** którzy dobiegli do mety. Prawdopodobnie nie wiele więcej poza podartymi pantoflami i pęcherzami na odparzonych stopach i może jeszcze mocne postanowienie, że w następnym maratonie znów staną na starcie. Po piętnastu latach stworzyli kadrę, w której skład wchodzi, jak przyjąłem, około 100 ludzi. Stu rozmiłowanych w sporcie, wśród nich wielu prawdziwych fanatyków lekkiej atletyki, jak numerowy z dworca Głównego w Warszawie Buczyński, który od wielu lat startuje w maratonie i który wygrał ten bieg w r. 1928.

Gdyby to zależało ode mnie, wszystkim im wręczyłbym **specjalne znaczki maratońskie.** Tak po prostu dla wyróżnienia tych stu spośród trzydziestu kilku milionów. Możeby taki Buczyński dostał kiedyś większy napiwek, ładując do wagonu pękate walizy jakiegoś „pierwszego wdowca", albo „pierwszego łysego"...

Al. Reksza.

NA SIODEŁKU MOTOCYKLA

V.

Ale ty się bronisz, mijasz szczęśliwie tę przeszkodę i wpadasz w ów kraj księżycowy, gdzie maszyna zaczyna ci skakać, wykręcać się konwulsyjnie na krawędziach wybojów, podrzucać cię do góry jak koń narowisty; ani się obejrzysz, a już jesteś na skraju drogi, gdzie się kończy tak zwana twarda nawierzchnia, a zaczyna miękka część jezdni, przeznaczona dla wozów, które po niej nigdy nie jeżdżą. Tam dopiero oddychasz.

Wczoraj był deszcz, i piaszczysta droga nieco stwardniała. Można jechać. Jedziesz tedy, ale niezbyt prędko, bo przed tobą już się kończy gładka płaszczyzna mokrego piasku, i na samym dnie kotlinki, między tą górką, z której dopiero co zjechałeś, a tą, na którą wjedziesz za chwilę, stoi woda w wybojach szosy i na całej szerokości owej bocznej jezdni, przeznaczonej dla wozów, które po niej prawie nigdy nie jeżdżą.

Wjechać w kałużę na motocyklu — to dopiero przygoda. Nogi aż do kolan masz wtedy unurzane w błocie, czasem i na plecach zatrzyma się pecyna gęstego błocka, wyszarpniętego z bajora tylnym kołem, a motocykl wygląda w jednej chwili, jakbyś go nie mył od czasu nabycia. A przy tym, co najważniejsze, wjeżdżając w kałużę, nigdy nie wiesz, czy jest płytka czy głęboka. Wygląda niewinnie na pozór: ot, dwa, trzy centymetry głębokości! Spokojne lustro kałuży zdaje się wskazywać na czystą, niemal źródlaną wodę w płyciutkim dołku. Ale gdy koło zanurzy się w tej płytkiej kałuży aż po osie, a z dna tryśnie na ciebie czarna, cuchnąca maź — zrozumiesz nagle, że oczekiwana przygoda właśnie się zdarzyła. Bo teraz już każdy, kto cię zobaczy, będzie cię traktował w myśl znanego przysłowia: jak cię widzą, tak cię piszą.

Ubabrany błotem, na brudnej maszynie, tracisz od razu, w mgnieniu oka cały swój wdzięk — i wartość w oczach ludzkich. Z lekceważeniem spojrzy na ciebie portier w hotelu, w mieście, do którego przyjedziesz, dadzą ci kiepski, ciemny i duszny pokoik koło kuchni, i aż do następnego dnia, kiedy znów wdziejesz oczyszczone ubranie —— będą cię wszędzie traktować, jak włóczęgę. I będą mieli rację, to najważniejsze, więc tym się nie zrażaj, pakuj się śmiało do najlepszej restauracji w jakimś tam Pikutkowie i okaż w ten sposób wzajemną pogardę obieżyświata dla ludności osiadłej i nie mającej skrzydeł u ramion. Zażądaj dwóch parówek z wody i szklanki piwa, albo jakiejś innej bardzo prostej potrawy —— to będzie jeszcze jeden dowód lekceważenia — nie zapomnij na stole położyć rękawice i okulary motocyklowe, — to ci wyrobi należyty szacunek u tubylców.

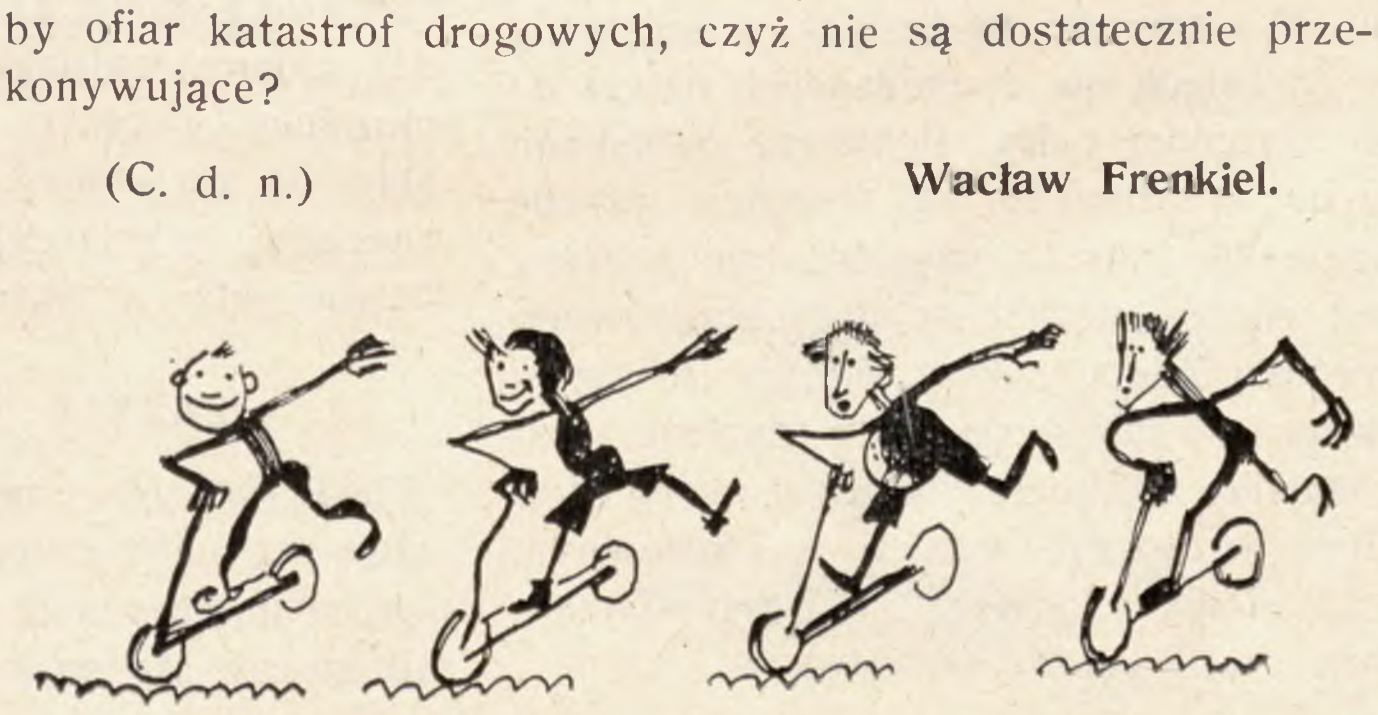
Patrzyć się będą na ciebie, jak na samobójcę, który siedzi nad rewolwerem, czy pucharem trucizny.

Wróćmy jednak na drogę. Niejeden z moich szanownych czytelników na pewno już woła: przestań się zajmować drogą i tym co się na niej dzieje, a opowiadaj, jakie miałeś wrażenia, co widziałeś obok drogi. Niestety, Szanowni Państwo! Automobilista, ani motocyklista nie mają wrażeń innych, poza sytuacją na szosie, stanem drogi i motoru. Wszystkie zmysły zajęte są prowadzeniem szybkiej maszyny. Na inne wrażenia nie pozostaje już czasu. Tylko zrzadka możesz sobie pozwolić na rozejrzenie się wokoło; składają się na to dwie okoliczności: na szosie musi być pusto na przestrzeni kilkuset metrów przed tobą i droga musi być gładka, bez wybojów i dziur. Takie szczęśliwe zbiegi okoliczności zdarzają się rzadko. To też moje wrażenia są poszarpane na strzępy takich właśnie rzadkich spojrzeń wokoło, odkrywających zupełnie nowe za każdym razem widoki. Gdy widok ten jest piękny, zatrzymuję się i patrzę, gdy nie zasługuje na to — jadę dalej. To też wszystkie moje wrażenia są właściwie wrażeniami z postojów. Zajmiemy się nimi potem.

Kilkadziesiąt kilometrów od stolicy ciągną się, niestety jeszcze nie we wszystkich kierunkach gładkie, piękne jezdnie asfaltowe lub granitowe. Po nich jedzie się gładko, szybko, silnik pracuje równiej, maszyna niszczy się na nich mniej — jednym słowem to są właściwe drogi dla samochodów i motocykli. W bok jednak od owych wspaniałych gładkich dróg ciągną się setki kilometrów straszliwych wybojów, tak zwanych dróg tłuczniowych, wymoszczonych tłuczonym kamieniem — lub kocich łbów, tj. kamieni polnych. Nie wiem doprawdy, co jest bardziej groźne, czy kamienie polne z wybojami, czy droga tłuczniowa tak zniszczona, że powierzchni twardej miejscami już nie ma. To też westchnienie ulgi wyrywa ci się z piersi, gdy z takich kocich łbów wjeżdżasz na gładkie asfalty, ale tu znowu patrzysz i oczom nie wierzysz: owe asfalty, z daleka gładkie i równe, poorane są brózdami ciągnionych po nich pługów i bron, podziurkowane pracowicie ostrzami haceli, a w niektórych wyżłobione są koleiny kół wozów wiejskich, ciężko naładowanych i tnących jak nożem wąskim paskiem obręczy żelaznej miękki, nagrzany słońcem asfalt. Nie próbuj tłumaczyć spotkanemu woźnicy, że dla jego wozu o wąskich obręczach żelaznych przeznaczone są pasy brukowane kamieniem polnym, albo wysypane żwirem. Każe ci samemu jechać po chropowatej drodze, kiedy ci się ona tak podoba. Nie rozumie, że jego wóz niszczy bezpowrotnie niezmiernie kosztowną drogę, stanowiącą przecież także i jego własność. Nie rozumie tego, że droga gładka, to arteria, rozprowadzająca zdrową krew dobrobytu po okolicy w której mieszka. Nie rozumie, że niszczenie drogi kołami żelaznymi i ostrymi hacelami jest niszczeniem sprawności obronnej państwa. Tak samo tego nie wie i nie rozumie, jak i tego, że nie można jechać środkiem drogi choćby było wolne miejsce, bo zasłania się widok szybko jadącej maszynie, dla której sytuacja na szosie zmienia się co krótką chwilę, a każda mylna lub zła decyzja sprowadza tragiczny koniec. Zła droga, stopień zniszczenia której maleje między wsiami i rośnie w samych osiedlach, jest najlepszym wskaźnikiem braku poczucia tej wielkiej prawdy, że nie ma dobrobytu bez dobrych dróg. Jezdnie asfaltowe, bazaltowe i granitowe niszczy koń, a jezdnie tłuczniowe niszczy samochód, którego opona wyrywa jak pompa kamyki z jednolitej masy bitej nawierzchni i niezmiernie prędko doprowadza ją do stanu powierzchni, przypominającej księżyc. Jakiż z tego wniosek? Prosty! Inne powinny być drogi dla konnych, inne dla samochodów i motocykli, inne wreszcie dla rowerzystów, którzy też przecież mają prawo jeździć po drogach, a przeszkadzają i szybkim i wolnym pojazdom. Dopiero gdy ruch konny skierowany zostanie na oddzielne, innym szlakiem biegnące drogi, ruch motorowy będzie swobodnie się rozwijać, drogi będą tańsze, bo dłużej wytrzymają bez reparacji, a liczba wypadków zmniejszy się niepomiernie, nastąpi bowiem automatycznie podział pojazdów według szybkości, co radykalnie usunie największą bolączkę naszych dróg. Niełatwa to rzecz, budować dwie drogi, zamiast jednej. Ale czy można patrzyć spokojnie, jak na wagę złota niemal płacony asfalt drą kopyta końskie na strzępy? Jak samochody, podskakując i trzeszcząc niszczą kosztowne szosy tłuczniowe? A hetakomby ofiar katastrof drogowych, czyż nie są dostatecznie przekonywujące?

(C. d. n.)

Wacław Frenkiel.





LIST Z TALLINA

— Gdyby tak urządzić generalny mecz sportowy z Estonią...

— Pobilibyśmy ją chyba bez trudu...

— Hm, jest pan tego pewien? Czy nie zbyt uproszczony rachunek?

Są naturalnie dziedziny, w których dominowalibyśmy bezapelacyjnie, ale nie brak też działów, w których przewaga Estończyków byłaby niemniej zupełna.

W zapasach, dźwiganiu ciężarów nie mielibyśmy wiele do powiedzenia. Ze strzelaniem też zapewne nie byłoby zbyt wesoło. W gimnastyce, szczególnie kobiecej, trudno byłoby o dodatnie punkty. W koszykówce walka wyrównana, w lekkiej atletyce przegralibyśmy rzuty, w skokach — jak Bóg da — natomiast w biegach szanse Estończyków byłyby żadne.

Tenis, boks, piłka nożna, pływanie, narty i hokej na lodzie — którego tu niemal nie znają — byłyby terenem naszych sukcesów.

— Więc ostatecznie zwycięstwo jednak po naszej stronie!

— Owszem, ale chyba **nie w takim stosunku, jaki wynikałby z proporcji 35 milionów do 1,3 miliona zaludnienia!** I w tym tkwi właśnie punkt zasadniczy. Oceniając osiągnięcia sportu Estonii należy zawsze mieć przed oczyma ilość jej mieszkańców. Należy pamiętać, że w kraju o milionie i 300 tysiącach ludzi są tylko 33 miasta. Stolica Tallin liczy 146.000 mieszkańców, miasto uniwersyteckie Tartu 60.000, trzy dalsze dociągają do 20 i trzy do 10 tysięcy, a reszta — to 25 osiedli nie dochodzących nawet do tej skromnej cyfry. Ponieważ ogniskami ruchu sportowego są wszędzie przede wszystkim miasta, więc też tym większy jest ciężar gatunkowy dotychczasowego dorobku Estończyków, którzy u progu swego niezależnego bytu znaleźli kraj gospodarczo zupełnie zdewastowany i budowę rozpocząć musieli w dosłownym tego słowa znaczeniu — od fundamentów.

CYFRY OLIMPIJSKIE.

Gdy jesteśmy już przy cyfrach warto zapoznać się też z wymowną **statystyką olimpijską.** Powiada ona, że:

W roku 1912 w Sztokholmie startowało 6 Estończyków. Zdobyli oni jeden srebrny i jeden brązowy medal.

W Antwerpii w r. 1920 widzieliśmy ich już 20-stu. Bilans — jeden złoty i dwa srebrne medale.

W r. 1924 w Paryżu ekspedycja wzrosła do imponującej cyfry 41 zawodników. Jeden złoty, jeden srebrny i 4 brązowe medale były dowodem, że nie zmarnowano sił i wydatków.

16-stu przedstawicieli, jacy znaleźli się z kolei w r. 1928 w Amsterdamie, spisało się bodajże jeszcze lepiej, odwożąc do ojczyzny 2 złote, 1 srebrny i 2 brązowe medale.

Skromna dwuosobowa reprezentacja w Los Angeles niczego nie dokonała.

W Berlinie w roku 1936 defilowało 37 zawodników. Dorobkiem ich — 2 złote, 2 srebrne i 3 brązowe medale.

Prosimy teraz zrobić kreskę i zsumować: **w 6 Igrzyskach startowało 116 zawodników, zdobyli razem 23 medale z tego: 6 złotych, 7 srebrnych i 10 brązowych.**

Jak będzie w roku 1940 w Helsinkach? Lepiej, niż we wszystkich dotychczasowych wypadkach — powiadają w Tallinie — Helsinki i Finlandia, to niemal to samo co Estonia. Znamy teren, znamy ludzi, znamy warunki, nie zabraknie nam moralnego poparcia, gdyż cztery godziny statkiem do stolicy sąsiada, to nic nieznacząca przejażdżka, która skusi na pewno setki a może i tysiące ziomków.

ZAŻYŁE STOSUNKI.

Jeśli Igrzyska helsinskie promieniują silnie na cały Bałtyk, to oddziaływanie ich na najbliższą Estonię będzie podwójnie mocne. Można dzisiaj już przewidzieć, że oba kraje szlifować będą swą formę w licznych wspólnych walkach treningowych, tym bardziej, że upodobania w bardzo wielu dziedzinach są niemal identyczne.

O ścisłym kontakcie mówi zresztą lektura prasy. Dzienniki w Helsinkach przynoszą obszerne telefonogramy o wydarzeniach na strzelnicach, matach i rzutniach estońskich, prasa tallińska notuje z niemniejszą dokładnością wszystkie nowe szczegóły tyczące się przygotowań olimpijskich.

Jadąc na Igrzyska do Helsinek można będzie ewentualnie wstąpić do Polski czy zawadzić o Rygę, nie sposób jednak ominąć Tallin, już choćby ze względu na konieczność przejścia z pociągu na statek. Obierając drogę morską wystarczy, przy wjeździe do zatoki Fińskiej, obrócić ster o kilka punktów na prawo, by znaleźć się przy wybrzeżu Estonii. Zresztą taką wycieczkę warto zaryzykować i na pewno pociągnie ona bardzo wielu wędrowców olimpijskich.

RADZIMY DO... TALLINA.

Po Rydze, pulsującej bujnym życiem wielkiej przymorskiej placówki handlowej, kontrast, z jakim spotykamy się w stolicy Estonii, jest podwójnie mocny.

Kręte uliczki, mury, wieże i wieżyczki, kościoły, domki w stylu niemieckiego średniowiecza zdają się śnić baśń odległych czasów, kiedy o władanie nad zamkiem i krajem toczyły zacięte boje dzikie hordy Duńczyków, żelazne zastępy Zakonu Rycerzy Mieczowych, ciężka rajtaria Szwedów, regimenty rosyjskich carów.

Ciężka była ręka obcego zdobywcy. Jednak i on, ulegając urokowi podbitej stolicy, przyczyniał się do jej upiększenia.

Zakon dał miastu potężne obwarowania i baszty z „długim Hermanem" (46 m wysokości i 6,5 m średnicy) na czele,

z którego szczytów powiewa obecnie sztandar wolnej Estonii.

Duńczycy poszerzyli miasto, otoczyli je drugim murem i wałami, obdarzając je kilkoma kościołami i klasztorami, które przetrwały po dzień dzisiejszy.

Piotr Wielki rozbudował port, otaczał Tallin szczególną opieką „zaszczycając" go nawet własnym pałacykiem, z którego dziś korzysta prezydent państwa.

CUD ODRODZENIA.

Wszystko to było jednak zewnętrznym szychem, pod którym skrył się wiecznie żywy duch estoński, śniąc o chwili wyzwolenia. A gdy rozległ się radosny dzwon wolności, stał się największy cud. Prysły obce naloty, niespożyta siła i energia narodu estońskiego wyczarowała z gruzów wojny i zniszczenia dzieło, godne tradycji legendarnego Kaleva!

Powstało państwo spojone siłą swej zdrowej gospodarki narodowej, użyźniane silnymi prądami kultury czerpiącej soki swe z krajów Zachodu. Rozrosła się też stolica. Dookoła starego zabytkowego miasta powstały nowe dzielnice, piękne szerokie bulwary i zieleńce, zakwitło nowe **własne** życie!

W ogólnym ruchu odrodzeniowym kartę swą ma również i sport. Tradycje jego były skromne. Sięgały do pierwszych nieznacznych poczynań z ostatnich lat ub. stulecia, jednak na dorobku tym nie można było oprzeć przęseł przyszłej wielkiej budowy. Dopiero wytryskające nowe źródła zlały się z czasem w jeden wspólny strumień, który wartkim prądem żłobi dziś obszerne łożysko.

NA ODCINKU SPORTU.

Estoński ruch sportowy jest obecnie skonsolidowany i silny. W Związku Centralnym, który kieruje całokształtem pracy, zorganizowanych jest 16 związków fachowych. Obok nich istnieją samodzielne organizacje sportowe młodzieży szkolnej, wojska, korpusu strzelców oraz potężny związek sportu strzeleckiego.

Związek Centralny kieruje ogólnym wyszkoleniem przez trenerów specjalistów wszystkich dziedzin, którzy podlegają bezpośrednio referentowi kultury fizycznej. Tego rodzaju referentów spotykamy też w związkach okręgowych, dzięki czemu **praca rozwija się systematycznie wedle jednego planu.** Sprawami młodzieżowymi zajmuje się specjalna sekcja.

Państwo przeznacza rok rocznie pewne sumy na wychowanie fizyczne, które zużywa się przeważnie na budowę urządzeń sportowych. Zasadniczo jednak **sport estoński zdany jest na opiekę społeczeństwa i kluby rozwijają się własnymi środkami.**

Sieć boisk stale się powiększa, a nowy stadion w Tallinie, własność centralnego Związku, zajmuje pierwsze miejsce w państwach bałtyckich. Plany i kosztorysy wielkiej hali sportowej czekają już tylko na realizację.

Narodowym sportem Estonii jest **ciężka atletyka.** Zapaśnicy estońscy osiągnęli już z końcem ub. stulecia sławę światową (Lurich, Aberg, Hackenschmidt), którą dzisiaj zdołali jeszcze bardziej ugruntować. Podobnie ma się sprawa z podnoszeniem ciężarów.

Zapaśnictwo czerpie swe siły z olbrzymiej popularności, jaką cieszy się w całym kraju nie wyłączając wsi. Raz po raz zjawiają się na matach nieznani młodzi ludzie z dalekich wiejskich osiedli, zadziwiając widownię bogactwem wrodzonego talentu.

Drugim wielkim atutem Estonii jest **strzelectwo.** Cieszy się ono naturalnie specjalną opieką armii. Do związku należy sto klubów z trzema tysiącami członków. O wysokich rezultatach decyduje nie tylko wyjątkowe uzdolnienie, ale i bezkonkurencyjna broń produkcji miejscowego arsenału.

Wspomnieliśmy już o gimnastyce i o lekkiej atletyce, która dała Estonii miotaczy o światowej sławie. Należy do nich student prawa 24-letni Kreek, **czterokrotny pogromca Woellkego** i dziś pierwszy w Europie miotacz kulą. Wedle opinii trenerów Kreek nie powiedział jeszcze ostatniego słowa i jest on jedną z nadziei na Olimpiadę.

Oszczepnik Sule należy do klasy fińskich Järvinenów i Nikkanenów. Rekord jego 75.94 imponuje nawet po przeciwnej stronie zatoki. Wadą Sulego jest — 30 lat! Kto wie, czy zdoła on utrzymać formę do 1940 roku, tym bardziej, że brak mu nerwu do walki. Sule należy również do sfery „inteligenckiej". Ma ukończoną wyższą szkołę handlu z dyplomem, jest prokurentem bankowym i uchodzi w tym fachu za jedną z najzdolniejszych głów swego kraju.

Na następcę Sulego przewidziany jest 23-letni Frejder Issak, akademicki mistrz świata w oszczepie — 71.85. Issak ma dobre warunki i powinien poczynić w przyszłym roku dalsze postępy.

Doskonałe rezultaty w wspomnianych powyżej gatunkach sportu wypływają z charakteru i przyrodzonych właściwości. Estończyk jest spokojny, zrównoważony, niemal flegmatyczny — stąd zdolności do pełnej koncentracji tak potrzebnej na strzelnicy, rzutni czy też na macie. Jako typ fizyczny — krępy o szerokich barach. Posiada więc wszystkie warunki niezbędne przy tak zw. sportach siłowych.

Ośrodkami życia sportowego stolicy są kluby, przy czym między Tallinem i Tartu (Dorpat) istnieje zażarta rywalizacja. Przodującym klubem stolicy jest „Kalev" (klub macierzysty Kreeka i sprintera oraz skoczka Tomsalu). Uprawia się tam wszystkie działy sportu. Drugim klubem jest „KS Tallin", w którym na pierwszym planie znajduje się boks, ciężka atletyka i piłka nożna. „Estonia" poświęciła się przede wszystkim piłkarstwu, w którym dzierży mistrzostwo, jest też głównym dostarczycielem graczy do reprezentacji.

Gdy mowa o piłce nożnej, to przechodzi ona obecnie kryzys. Zbyt długo trzymano się kurczowo starych nazwisk, to też przyszła chwila, w której jedni się skończyli, a pod ręką nie było godnych następców. Obecnie dokonuje się reorganizacja, której pierwsze ślady uwidoczniły się w turnieju bałtyckim. Wbrew oczekiwaniom Estonia zajęła w nim **pierwsze miejsce,** ku wielkiemu rozczarowaniu Łotyszów.

Głównym siedliskiem lekkiej atletyki jest ASK (Akademicki Klub Sportowy) w Tartu. W szeregach jego znajduje się Sule i Issak, jest też cały szereg dalszych, dziś jeszcze mniej znanych, utalentowanych młodych zawodników. Fachowa opieka i wielka tradycja sportowa klubu daje gwarancję, że rozwój ich pójdzie w należytym kierunku i sport estoński wzbogaci się w krótkim czasie o nowe poważne siły.

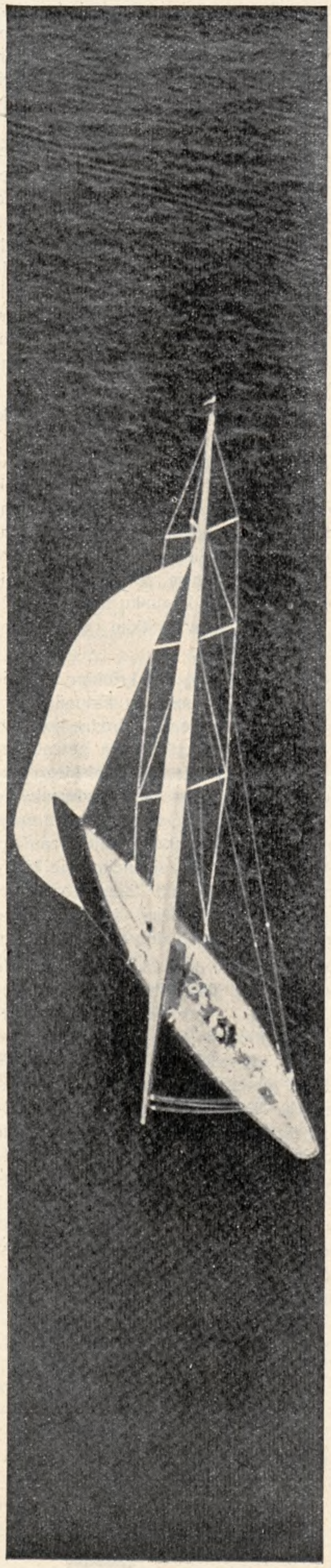
Naszkicowaliśmy w krótkim zarysie ogólną sytuację sportu w Estonii, który znajduje się na najlepszej drodze i w walkach olimpijskich odegra na pewno zaszczytną rolę. **Dla sportu polskiego panuje w Tallinie żywe zainteresowanie,** co zdołaliśmy stwierdzić w rozmowie z miejscowymi działaczami. Wydaje nam się, że przy nieco większej inicjatywie kluby nasze znalazłyby tam teren korzystnej ekspansji, tym bardziej, że dawniejsze występy pozostawiły dobre wspomnienia.

Wielkie zainteresowanie panuje przede wszystkim dla piłkarstwa. W Estonii cieszy się ono — jak wszędzie — wzrastającą z roku na rok popularnością, to też przy odpowiedniej kalkulacji istnieje możność ulokowania tam drużyn zagranicznych. Najchętniej powitanoby w Tallinie naszą reprezentację, nawet garnitur B, ale i oferty zespołów klubowych spotkałyby się z życzliwym przyjęciem. Warunki należałoby naturalnie utrzymać w skromnych normach, tym bardziej, że gościnne przyjęcie i doprawdy ciekawa, piękna wycieczka, przyniosłyby uczestnikom pełne zadowolenie.

Obserwer.



NAD POLSKIM MORZEM



Aż ciarki przechodzą, gdy wspomnieć sobie przy dzisiejszej aurze kąpiel morską. Br... w takiej lodowatej wodzie, przy takim zgniłym powietrzu? Chyba systemem chłopów rosyjskich. Wyskakiwał taki ryzykant z kożucha baraniego prosto w lodowate odmęty wodne, a gdy wyłazil — czekał na niego litr samogonu i samowar herbaty. Podobno jedyny środek na wszelkie schorzenia przewodów oddechowych...

Dzisiejsze środki lecznicze odbiegają nieco od tego systemu, choć pierwszy bywa też stosowany — tylko w szlachetniejszym wydaniu.

Choć morze nasuwa nam raczej przykre asocjacje, postarajmy się spojrzeć w niedaleką przeszłość; wspomnijmy z daleka cudowne, niezapomniane i temu podobnie określane dni spędzone **nad morzem;** popatrzmy się obiektywnie na okres naszego urlopu, spędzony w „kurorcie“ morskim.

Nazwę „kurort“ użyłam naumyślnie, by zrównać wartość miejscowości nadmorskich ze stacjami klimatycznymi w rodzaju Krynicy, Truskawca czy Rymanowa.

I tu i tam udaje się wymęczony całoroczną harówką mniej lub więcej szary obywatel na kurację. Różnica polega jedynie na środkach, które prowadzą do celu, czyli do regeneracji fizycznej i psychicznej. W Ciechocinku czy innym Busku poważny obywatel zażywa prozaicznej kąpieli solankowej; nad morzem pozostawiwszy swą godność wraz z zaprasowanym świetnie garniturem w pensjonacie — rzuca na pastwę bałwanów swe zbyt obfite kształty. Spacerek „na apetyt“ po zagęszczonym do obrzydliwości deptaku można odbyć samotnie nawet (jeśli ma się umysł filozofa) śliczną nadmorską ścieżynką, mając oczy pełne niekończącego się błękitu.

Różnicy żadnej z punktu widzenia laika. Ale nawet laik zauważy pewien szczegół a nawet więcej, dzięki którym miejscowość nadmorska jest **dziwnie upośledzona** w porównaniu do swych siostrzyc z głębi lądu. Laik jednak musi być „objeżdżony“ tzn. taki, który miał szczęście, albo nieszczęście, zwiedzać lub co gorzej przebywać po parę dni przypuśćmy w Spaa, Deauville, Dubrovniku, w Sopotach a nawet w naszej polskiej „dyplomatycznej“ Juracie.

Przyjechawszy do popularnej Jastarni, marzyło się o wspaniałym odpoczynku, o igrających promieniach słońca w błękitnej otchłani wód, o srebrzystym księżycu, oglądanym z okna schludnego pensjonaciku. Morze, słońce, księżyc pozostają w dalszym ciągu bez zmiany, tylko różowe okulary przybysza **dziwnie matowieją i szarzeją z dnia na dzień.** Całe w tym nieszczęście, że taki kuracjusz przyjeżdża z miasta czy miasteczka, gdzie akcesoria w rodzaju łazienki z przyległościami, elektryczności, wody bieżącej weszły od dawna w nałóg i są nieodłącznym warunkiem życia codziennego. Tu pierwsze rozczarowania, pierwsze zgrzyty...

— Gosposiu, a gdzie tu się można umyć?

— Umyć? — a mało to macie wody w morzu...

— No a trochę gorącej, bo to po podróży...

— E, do zębów to się pewnie znajdzie. Nalejcie-no sobie z imbryka, stoi na kuchni...

Woda żółta, że aż bierze obrzydzenie płukać nią usta, a cóż dopiero pić taką! To też budki z wodą sodową robią kokosowe interesy.

Chciało by się czasem poczytać gazetkę miejskim zwyczajem do łóżeczka, albo naprawić coś, list napisać... Oczy nieprzyzwyczajone do nędznego naftowego oświetlenia zaczynają piec, szczególnie po całodziennym intensywnym blasku słonecznym, a sadze z nieumiejętnie podkręconego knota zasnuwają czarnym całunem olśniewająco biały, prosto z pralni, strój plażowy.

Zniechęcony amator rozkoszy nadmorskich ciska gazetę, zdmuchuje lampę i, klnąc, stara się zasnąć. Tu zaczynają się chyba najgorsze katusze. Nocne łowy! Zapalaj czym prędzej lampę, wyłapuj lokatorów nieproszonych, by zgasiwszy ją, znów po chwili szukać po omacku nie wiadomo gdzie rzuconych w przystępie furii zapałek.

I tak dalej i dalej; cóż z tego, że promienie igrają następnego dnia znów w błękitnej otchłani wód, że srebrzysty księżyc dalej świeci do okna „schludnego“ pensjonatu...

Różowe okulary poszły w drobiazgi, tworzy się **osad niechęci, narzekanie** i wreszcie: uf! — wreszcie wyjeżdżamy — pomyślcie co nas czeka — **gorąca kąpiel w wannie!**

Mogło być wspaniale, niezapomnianie, gdyby było — **kulturalnie!**

Przykładem takim, pomijając obce miejscowości nadmorskie, jest Jurata, **nasza polska Jurata.** Widzę ironiczne uśmiechy! No... 15 zł za apartament dziennie! Nie każdego stać na takie luksusy!

A te luksusy to właśnie: łazienka, woda bieżąca, elektryczność, chodniki, jezdnie, przyzwoite urządzenia plażowe i sportowe. Okazuje się więc, że to, co przy pobycie i wynajmowaniu pokoju w pensjonacie krynickim czy zakopiańskim jest warunkiem nieodłącznym — nad morzem staje się **luksusem.**





Podobnie przepłacano za mieszkania swego czasu, gdy wodociągi, kanalizacja i oświetlenie elektryczne były ostatnim „krzykiem mody“ i tylko milionerzy mogli sobie na to pozwolić. — W drugiej połowie dziewiętnastego wieku — smutna analogia!

Z tego prosty wniosek: jeśli na wybrzeżu podniesie się ogólna stopa mieszkaniowa, jeśli Jastarnie, Hele, czy inne Wielkie Wsie postarają się dostarczyć swym gościom przyzwoitych warunków bytowania letniego, jeśli znikną ohydne płoty, pastwiska dla krów pośród tzw. pensjonatów, gdy kąpiel w morzu będzie służyć dla ochłody, a nie ablucji z mydłem i szczotką — wtedy Jurata na pewno opuści swe ceny, a koszt pobytu zrówna się z możliwościami przeciętnie zarabiającego urzędnika.

Jurata posiada doskonały „maquillage“. Dróżki betonowe pokrywają gęstą siatką las o barwnym podszyciu z soczystych paproci i fioletowego wrzosu. Poszczególne działki są oddzielone estetycznymi siatkami, a pensjonaty i domki campingowe porośnięte winem czy bluszczem. W miniaturowych ogródkach — barwne kwietniki, sadzone ręką dbałych o piękno otoczenia właścicieli.

Największa chyba atrakcja Juraty, to doskonale pomyślane **urządzenia dla ćwiczeń cielesnych,** które pozwalają na uprawianie jakich tylko dusza zapragnie sportów. A więc świetnie utrzymane czerwone korty tenisowe, niewielka, ale wystarczająco wyposażona hala sportowa, tor łuczny, pływalnie na zatoce dla więcej i mniej zaawansowanych, kajaki, łodzie na wiosła, żaglówki, wreszcie „wielka sensacja i clou sezonu“ narty wodne, które przywędrowały do nas z Cóte d'Azur. Cały szereg tabliczek porozmieszczanych w lesie o ciekawie, czasem humorystycznie brzmiących napisach informuje kuracjuszy i stara się skierować ich zainteresowania ku zdrowym rozrywkom sportowym. Trzeba przyznać, że kierownik sportowy p. Szelestowski, inicjator tych pomysłowych urządzeń, potrafił zachęcić do tego stopnia rozleniwionych kuracjuszy, że wszyscy z nich zapomniawszy o swych „wysokich urzędach“, o troskach i zmartwieniach, o swych nadwagach i niedowagach ćwiczą. Gimnastyka na plaży cieszy się ogromnym powodzeniem; na drewnianym pomoście w takt muzyki harmonii ćwiczą w osobnych kompletach, starzy i młodzi, panie i panowie; wreszcie małe pędraki używają co nie miara na huśtawkach, trapezach i przeróżnych urządzeniach pomyślanych specjalnie dla naszych milusińskich, **pod opieką instruktorki z CIWF-u.** Jednym słowem ogródek jordanowski pełen śmiechu i wrzawy!



Takie inwestycje sportowe, kosztujące grosze i bardzo sprytnie pomyślane, **powinny rozprzestrzenić się na całym wybrzeżu.** Trochę tylko inicjatywy! Panowie instruktorzy i instruktorki powinni zastanowić się trochę nad tym zagadnieniem. Potrzebny jest niewielki kapitał zakładowy i bardzo dużo dobrych chęci.

Zanim będzie nam dane wypoczywać w komfortowo urządzonych pensjonatach Jastarni czy Helu, niech sport dający nam radość życia i poczucie własnej siły i sprawności pozwoli zapomnieć o niedociągnięciach mieszkaniowych i powrócić do miasta bez żalu za zmarnowanym urlopem. Choć pozostawiamy za sobą błękitne morze...

Ewa Runge.







PO „GERLACHU“ — „MASZYNA“.

Nie upłynęło wiele wody w Wiśle od tego czasu, kiedy jeden z naszych czołowych pięściarzy w wywiadzie udzielonym pewnemu pismu sportowemu wzbogacił słownictwo sportowe wyrazem „gerlach“. Pod tym słowem należało rozumieć, według wyjaśnień samego interlokutora, nóż sprężynowy, przeznaczony dla pewnego pięściarza — konkurenta z zagranicy, spotkanego w niezupełnie widnej i ludnej uliczce Syreniego Grodu.

Po „gerlachu“ przyszła kolej na „maszynę“ — w intencjach może jeszcze bardziej osobliwych.

Oto jak donosi „Kurier Czerwony“ z 11 października, mistrz Polski w maratonie na rok 1938 biegał w okolicznościach doprawdy niezwykłych.

„Jeśli wygrałem maraton, to w lwiej części i jego w tym zasługa“.

Tak mówi nasz mistrz maratonu o swoim kierowniku, a na czym polegała ta zasługa:

„W czasie biegu „maszynę“ trzymał w ręku i krzyczał: — Jasiu, zasuwaj, zastrzelę Cię, jeśli nie wygrasz! Ten doping poskutkował“.

Jak widzimy doping był bardzo specyficzny, ale i... skuteczny. Coby to było, gdyby tak w innych biegach czy zawodach kierownicy chcieli tym samym **„środkiem“** dopingować swych wychowanków?

Tej metody **„wychowawczej“** zupełnie... nie pochwalamy.

Mistrz maratonu nie grzeszy skromnością, bo w tym samym wywiadzie mówi:

„...wyrosłem na tak wielkiego biegacza“.

Wielki jak wielki, ale w każdym razie dobry. Tylko, czy nie lepiej byłoby zostawić ocenę tej wielkości innym?

Mistrz maratonu wierzy... w diabła. Czarciej mocy przypisuje zwycięstwo mistrza maratonu z roku ubiegłego, bo mówi:

„...ale w moim przekonaniu nie uważałem się za pokonanego, gdyż czas (2:37) uzyskał on chyba z pomocą diabła“.

Niewiadomo, czy mistrz maratonu myśli o tym diable, kiedy w dalszym ciągu jego niezwykłych zwierzeń czytamy:

„...w Łodzi podczas zeszłorocznego maratonu działy się „cuda“.

Jak widzimy, ten mistrz Polski w maratonie, który zwycięża dopingowany przez pistolet i wierzy w czarcie moce, jest swego rodzaju osobliwością w naszym sporcie.

Z. Weiss.

SZALEŃSTWA „ZIELONEGO STOLIKA“.

Sprawa piłkarza Słoty weszła znów na tapetę i to w momencie najmniej oczekiwanym, bo w chwili gdy P. Z. P. N. stwierdził, że Słota **prawnie** grał 21 sierpnia w meczu Ruch—Pogoń.

Oto nazajutrz po wyroku, sam prezes Cracovii p. mecenas Michałowski wystąpił z rewelacyjnym oświadczeniem, z którego wynika, że P. Z. P. N. został **oszukany przez sosnowiecką „Unię“**, bo krytycznego 5 czerwca Słota jakoby jeszcze nie miał zwolnienia, ba, nawet 23 czerwca — także nie!

„Unia“ musi się bronić, bo oskarżenie jest poważne i wytoczone nie przez byle kogo, ale przez zawodowego adwokata!

Jest w tej sprawie dużo ciekawych szczegółów; spójrzmy na nie, po prostu dla tysiącznego stwierdzenia, przez jakie bagna grzęznąć muszą piłkarze, zanim wydostaną się na twardy grunt boiska.

Najpierw rzućmy okiem na tabelę ligową: kto konkuruje z Ruchem o tytuł mistrza Polski? Cracovia!

Kto tak gorliwie zajął się sprawą Słoty? Cracovia!

A więc to walka nie o czystość i poszanowanie przepisów PZPN-u — tylko **o cenne dwa punkty,** które mało pomogą Pogoni, ale uszczęśliwią Cracovię.

Teraz dalej: w czasie śledztwa tj. od 21 sierpnia do 5 października p. mecenas milczy o posiadaniu dowodów machlojki, to znaczy dopuszcza do błędnego (jego zdaniem) wyroku, a dopiero nazajutrz ogłasza w prasie swoje rewelacje!

Co za chwyt! Co za taktyka! Dzięki jednemu wyrokowi kompromituje się PZPN, Unia i Ruch! Sprawa znowu staje się otwartą, bo **Cracovia ma dowody!**

Jakie? A no, **bilet autobusowy N 136 Seria 184,** za którym „przyjaciel“ Cracovii (co za wygodne słowo!) jeździł do Sosnowca aby porozmawiać z kierownikiem Unii p. Rutkowskim o koniunkturze, pogodzie i Słocie...

Ot, takie sobie nieobowiązujące rozmówki... Kaperować nie wolno, ale porozmawiać wolno... Ludzie oficjalni nie mają prawa, ale, mój Boże, „przyjaciel“ jest osobą prywatną... Niech sobie pogwarzą, a na wszelki wypadek zachowajmy bilet autobusowy jako corpus delicti: może kiedyś odda on dużą przysługę, zaświadczy, że **już** 23 czerwca Cracovia **załatwiała** zwolnienie, albo, że **jeszcze** 23 czerwca Ruch **nie załatwił** zwolnienia!

Tak czy inaczej bilet dochował się do dnia dzisiejszego i tkwi w portfelu p. mecenasa prezesa, grożąc kompromitacją paru instytucjom sportowym.

Tylko... czy p. mecenas nie przecenia ważności skromnego biletu, jako dokumentu?

Ostatecznie, PZPN i bez biletu uwierzy panu „przyjacielowi“, że dnia 23 czerwca rozmawiał z Kierownikiem Rutkowskim w Sosnowcu, szczególniej **jeżeli p. Rutkowski to potwierdzi!..**

Ale, przypuśćmy, że p. Rutkowski **zaprzeczy** — to co wart będzie wówczas zielony bilet N 136? Tyle, co wart jest w rzeczywistości — nic!

Jedno jest pewne — p. Rutkowski miał w ręku 2 punkty. Skoro oddał je Ruchowi, to **sprawa jest definitywnie skończona!**

Bilet można zniszczyć. Zostanie niesmak i jeszcze jeden dowód, jak gwałtownie trzeba leczyć chory organizm naszego piłkarstwa.

Józef Kempa.



SKĄD SIĘ WZIĘŁO SŁOWO „SPORT"?

Dzieje słowa przedstawiają rozwój całej idei w przeciągu czasów i na przestrzeni, gdzie było ono używane.

Powszechne jest mniemanie, iż wyraz „sport" jest pochodzenia angielskiego. Rzeczywiście, na ląd europejski przedostał się on, w końcu wieku XIX, z wysp brytyjskich, lecz nie po raz pierwszy przybył, a tylko powrócił skąd przyszedł. Przejdźmy za nim długą drogę przebytą.

Gdy w czasach rzymskich przystępowano do założenia nowego grodu, budowano go na przestrzeni, ograniczonej rowem. Szlak tego rowu nakreślał pług, prowadzony przez założyciela miasta podczas uroczystej ceremonii. Przekraczać świętej granicy nie wolno było nikomu; by więc mieszkańcy mogli udawać się poza miasto, a obcy doń przybywać, założyciel w pewnych miejscach pług podnosił tak, by lemiesz przestał ranić ziemię i bruzda doznała przerwy.

Od „nosić" — portare — te wejścia i wyjścia, późniejsze bramy, otrzymały nazwę porta. Czynność zaś wydalania się poza obręb grodu powołała do życia czasowniki: deportare, transportare.

Legiony Juliusza Cezara zaniosły słowo „desport" — wychodzenie za bramy, na łąki, do Galii. Już na samym początku wieków średnich używane ono jest powszechnie, w królestwie Karlomana, do oznaczenia gier ruchowych, chodzenia, skakania, jazdy konnej, wszelkich ćwiczeń i zawodów, przyspasabiających do turnieju i wojny, a odbywających się zazwyczaj poza murami miasta.

Przejąwszy kulturę galijską, Normanowie przejęli i „desport", którym obdarzyli później mieszkańców wysp brytyjskich.

Już w XIV wieku poeta Chaucer używa zwrotu tego, mówiąc o pewnym młodzieńcu, że „chodził bawić się w polu, dla swego desportu".

Po obu stronach kanału La Manche wyrazu tego zaczęto wkrótce używać nie tylko w stosunku do ćwiczeń cielesnych, lecz i dla oznaczenia wszelkiego rodzaju rozrywki, gry.

Należy stwierdzić, że w owym czasie ćwiczenia fizyczne były w większej modzie we Francji, niż w Anglii. Sir Robert Dallington pisze w wieku XVI, że „w palanta (jeu de paume) we Francji grają więcej, niż w całej reszcie krajów chrześcijańskich", i nawet, że „we Francji jest więcej zwolenników palanta, niż pijaków w Anglii" — co zdaje się uważał za przykład, frapujący wyobraźnię. „Zresztą — kończy — zamiłowanie to do ćwiczeń jest zaraźliwe i Anglia zdążyła już wiele z tych głupstw absurdalnych gościnnie przyjąć".

Czasy się zmieniają. Przeszły trzy stulecia — i z Anglii popłynęły z powrotem do Francji i dawny palant, lawntenisem zwany, i wszystkie dawne „desporty", pod nazwą krótszą i z angielska brzmiącą: sport.

I tak samo przez pewien czas z ubolewaniem stwierdzano rozszerzanie się zarazy, zbyt pochopne naśladowanie Anglików... A minął jeszcze lat dziesiątek i „sport" wszedł triumfalnie przez wszystkie bramy do wszystkich grodów świata. Zaczęli znowu za bramy wychodzić młodzieńcy, żądni czynu, spragnieni przestrzeni i ruchu, a pozostali poczęli oczekiwać z biciem serca wieści o powodzeniu czy klęsce sportsmenów tak samo, jak ongi oczekiwano w mieście wieści z placu boju czy z głośnego turnieju...

W. J.

JAN O. RZUTOWSKI. 36

BILL PATRICK

Nazajutrz we wszystkich gazetach ukazały się pod dużymy jaskrawymi tytułami sążniste relacje o niezwykłym na terenie sportu wydarzeniu.

„New York Daily News" w rubryce „Przestępstwa i kradzieże" podały, co następuje:

„Wczoraj odbył się wielki mecz bokserski Bill Patrick — Battling Stani (o którym szczegółowo piszemy w dziale sportowym). Po zakończeniu spotkania zostało wykryte, iż Patrick, nie mogąc podołać przeciwnikowi, usiłował go otruć. Stwierdzono użycie niesłychanie silnego środka, mianowicie cjanowodoru. Dzięki natychmiastowej pomocy lekarskiej, udzielonej przez Dra Farquarsona, poszkodowanego boksera udało się uratować. Patrick i zamieszany w sprawę manażer O'Connor zostali aresztowani, a dziś zostaną zbadani przez sędziego śledczego. Nadmienić warto, że Bill Patrick, który przed kilku zaledwie miesiącami uzyskał obywatelstwo USA, jest z pochodzenia Polakiem i nazywa się w rzeczywistości Anthony Patik".

„Dziennik Polski" podał to w nieco innej formie:

„Znany na tutejszym gruncie sprzedawczyk, dawny amatorski Mistrz Europy, Antoni Patyk, który po zdradzie narodu ojczystego podawał się za Irlandczyka, a następnie Amerykana, został wczoraj zbity na kwaśne jabłko przez doskonałego pięściarza polskiego Battlinga Stani, czyli, jak każdy wie, Stanisława Zawadzkiego. Kiedy prawdziwy Polak wykazal wielką przewagę, posyłając swego przeciwnika dużo razy na deski ringu, tamten wziął się na inny sposób i użył śmiertelnej trucizny. Na szczęście, Stanislawowi Zawadzkiemu nic złego się nie stało, za to Bill Patrick powędrował wreszcie do kryminału, skąd na pewno nie prędko wróci".

W dwa dni po tych pierwszych wzmiankach wydrukowano dalsze:

„Informowaliśmy już naszych czytelników o wielkim skandalu, jaki wynikł na meczu Bill Patrick — Battling Stani. Dziś jesteśmy w stanie

SPORTOWCA OBOWIĄZUJE PUNKTUALNOŚĆ! — NIE ZALEGAJ WIĘC Z PRENUMERATĄ!

podać dalsze wiadomości. Sędzia śledczy Ainley przesłuchał obu zatrzymanych, poczym polecił zwolnić manażera O'Connora za kaucją, a Bill Patricka, alias Anthony Patika przetransportować do więzienia przy sądzie stanowym. Równocześnie przeprowadziły dochodzenia władze bokserskie, które na razie zawiesiły w prawach obu oskarżonych".

Po tygodniu przyszły nowe wiadomości: sędzia śledczy zgodził się na zwolnienie Billa za kaucją. Ponieważ jednak Bill Patrick niezbędnej sumy nie mógł złożyć, pozostał nadal w więzieniu. Ze swej strony władze bokserskie postanowiły odebrać O'Connorowi licencję manażera, Billowi zaś zabroniły udziału w zawodach pięściarskich na terenie Stanów Zjednoczonych.

W kilka dni później gazety podały, iż Bill Patrick został ostatecznie zwolniony, i w procesie, który ma niebawem nastąpić, figurować będzie jedynie jako świadek. Nastąpiło to na skutek zeznań, złożonych przez masażystę Pata Martensa, który zjawił się u prokuratora w towarzystwie trenera Thompsona i wyjawił nieznane dotąd szczegóły. Thompson rozpoczął w komisji bokserskiej starania około przywrócenia Patrickowi praw zawodniczych.

W tym samym numerze znalazła się wzmianka, donosząca, że kontrakt na walkę o tytuł mistrza świata pomiędzy Joe Punchem a Battlingiem Stani został już podpisany.

•

— Do ciebie jakiś młody człowiek... nie chciał powiedzieć nazwiska!

— Nie chciał powiedzieć nazwiska? — zdziwił się Thompson. — A jak wygląda?

— Blondyn, barczysty, na pewno bokser — tłumaczyła żona. — Bez palta; garnitur z dobrego materiału, ale mocno wytarty...

W tej chwili zapukano do drzwi pokoju.

— Proszę, niechętnie odezwał się trener. Gdy ujrzał na progu Bill Patricka, zwrócił się do małżonki:

— Nelly, zostaw nas chwilkę samych... idź do dzieci!

— Pan mi wybaczy, rzekł Bill, że tak obcesowo wpadam... Bałem się, że mnie nie wpuszczą... Miałem już aż nadto przykładów...

— Niech pan siada, panie Patrick. Bardzo się cieszę, że pana widzę, że pan jest nareszcie wolny!

— Dzięki panu! Przyszedłem właśnie podziękować.

— Zrobiłem tylko, czego wymagała elementarna uczciwość. Martens się przede mną wygadał... wziąłem go za kark i jazda do sądu! Nie mógł się wymigać... Natomiast gorzej, niestety, powiodło mi się w boxing commission. Nie chcą zmienić decyzji, zezwolić panu na start...

— Nie chcą? Nie ma żadnego sposobu? Bo przecież cóż ja będę...

— Ja jestem za mały na to. Musiałby się wstawić ktoś bardzo wpływowy!

— Kto by sobie zadał trud!

— Niech pan kołacze po organizatorach, po manażerach...

Bill zaśmiał się ironicznie:

— Byłem wszędzie. Nikt ze mną w ogóle nie rozmawia. Proponowałem swe usługi jako sparring-partner, do treningu. Byłem u Joe Punch'a. Te czarne bydlę wypędziło mnie za drzwi. Byłem u Battlinga Stani... rozumie pan, zwróciłem się do Battlinga Stani! Odesłał mnie do Joe Punch'a i dodał: może pana zaangażuje, by mi pan w odpowiedniej chwili podsunął trucizny! Byłem u tego Franka Bowlinga, którego tak niedawno znokautowałem w pierwszej rundzie, by mnie zechciał obijać ile wlezie za 5 dolarów, za 3 dolary... Byłem wszędzie!

— Tak!.. Ma pan złą markę!

— Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jak słuszne, jak mądre były pańskie przestrogi! Jestem w sytuacji bez wyjścia!

— Nie trać pan nadziei! Nie dziś, za tydzień, nie za tydzień, to za miesiąc, gdy w sądzie wyjdzie na jaw, że pan nic nie jest winien...

— Za miesiąc! A przez ten miesiąc?

— No, przecież pan ma piękne mieszkanie, samochód, masę cennych drobiazgów! Cóż, trzeba potrosze sprzedawać, aby przetrwać...

— Ja nic nie mam! — prawie krzyknął Bill. Wszystkie moje rzeczy zabrała, zabrała czy tam sprzedała Irma Schultz... Samochód stoi u niej w garażu i nie mam żadnej możliwości go odebrać; nie mam żadnych dowodów... Gdy wróciłem do swego mieszkania, stróż zrobił wielkie oczy... Zastałem puste ściany i kartkę „do wynajęcia"... Nie powiedziałem nic... co za sens był robić awanturę? Ukłoniłem się grzecznie i wyszedłem...

— No i gdzie pan mieszka?

— A jak się da... Lecz mówmy o czym innym... Właściwie — nie ma w ogóle o czym mówić!

— Panie Patrick, zamyślił się Thompson, niech pan wstąpi do mnie jutro... tak pod wieczór. Może będę miał jaką dobrą nowinę dla pana... Znam dużo ludzi...

Bill długo wpatrywał się w twarz starego trenera. Potem rzekł powoli:

— Nie, ja nie przyjdę... ja nie zasługuję na to...

— Na co? Obowiązkiem każdego człowieka jest pomagać każdemu innemu człowiekowi! Czy by pan mi nie pomógł, gdyby pan mógł?

— Teraz tak... ale dawniej, dawniej chyba nie! Właśnie dlatego...

Thompson wstał i chwycił go mocno za ramiona.

— Bill! Dziękuj Panu Bogu! Stałeś się prawdziwym, godnym szacunku człowiekiem! Patrz śmiało w przyszłość: będzie lepsza, niż była twoja przeszłość.

— No i przyjdź jutro koniecznie... Nie pod wieczór, a tak w porze obiadowej, dodał śpiesznie.

Bill stał z opuszczoną głową. Wnet podniósł ją, a na twarzy jego pojawił się wstydliwy, bolesny uśmiech. Oczy błysnęły jaśniej; ścisnął mocno rękę Thompsona.

— Dziękuję, dziękuję bardzo. Przyjdę na pewno. Nie będę się wobec pana wstydził: od dwóch dni nic nie jadłem...

Stary zerwał się, pobiegł do kuchni. Po chwili doszedł stamtąd jego głos:

— Nelly! Smaż mi zaraz omlet... z dziesięciu jaj! A jutro na obiad ma być żarcia na cały pułk piechoty, rozumiesz...

(C. d. n.).

TYDZIEŃ PO TYGODNIU

Z inicjatywy Związku Polskich Związków Sportowych odbyła się w ubiegły czwartek w Cieszynie **konferencja organizacji w. f. i Polskich klubów sportowych Śląska Zaolzańskiego.** Obradom przewodniczył delegat Zarządu Z. P. Z. S., dr Mieczysław Orłowicz; wziął w nich również udział mjr Czuma, przedstawiciel Okr. U. W. F. w Katowicach.

Zagajając zebranie dr Orłowicz dal wyraz radości zrzeszonego sportu polskiego, że polskie związki sportowe mogą powitać w swym gronie organizacje sportowe ze Śląska Zaolzańskiego, z którymi już poprzednio utrzymywały serdeczny kontakt. Następnie wezwał obecnych, aby w najbliższym czasie, o ile to jeszcze nie nastąpiło, zgłosili przystąpienie do terytorialnie kompetentnych okręgowych związków sportowych.

Ponieważ po objęciu władzy przez Polskę nastąpiło rozwiązanie wszystkich stowarzyszeń na Śląsku Zaolzańskim, zebrani zwrócili się do władz z prośbą o statutową restytucję działalności polskich zrzeszeń sportowych.

Polska Rada Wych. Fiz. na Śląsku Zaolzańskim ma w najbliższym czasie opracować memoriał do PUWF oraz do ZPZS, w którym będą przedstawione postulaty sportu na Śląsku Zaolzańskim zarówno w dziedzinie organizacyjnej jak i inwestycyjnej.

Zebranie zakończyło uchwalenie wniosku, wyrażającego podziękowanie Zarządowi ZPZS za zwołanie zebrania, nawiązanie kontaktu organizacyjnego i gotowość poparcia postulatów sportu na Śląsku Zaolzańskim.

●

Przedostatnia niedziela ligowa nie przyniosła żadnych zasadniczych zmian w tabeli ligowej.

W Warszawie **Polonia** pokonała pewnie **Wartę 3:1 (1:1)** przy czym tylko fenomenalna gra bramkarza Warty — Jankowiaka, uchroniła ją od jeszcze większej klęski. Bramki strzelili Kisieliński, Przybysz i Jaźnicki, dla Warty — Szerfke. Sędzia p. Sawaryn. Widzów około 9.000.



Wenclówna (Pol.) w skoku wzwyż.

W Łodzi ŁKS wygrał nieoczekiwanie z osłabioną **Warszawianką 3:0 (2:0).** Bramki zdobyli Koszewski, Korporowicz i Lewandowski. Sędzia p. Zapiór. Widzów 2.500.

W Krakowie **Pogoń** zwyciężyła po zaciętej grze **Cracovię 3:2 (1:1).** Bramki strzelili Wolanin 2 oraz Matyas dla Pogoni, a dla Cracovii Pająk i Jabłoński. Sędzia p. Frank. Widzów 5.000.

W Wilnie **Ruch** pokonał **Śmigłego 4:2 (1:1)** przeważając zdecydowanie nad przeciwnikiem.

Łupem bramkowym podzielili się Wilimowski (3) i Peterek (1), a dla Śmigłego — Balosek i Marzec.

Sędzia p. Krukowski. Widzów 3.000.

W ostatnim wreszcie meczu, w Chorzowie, **AKS** zremisował z **Wisłą 0:0.** Sędziował p. Rettig. Widzów 3.000.

Tabela Ligowa:

1) Ruch gier 17 pkt. 25 st. br. 54:33, 2) Warta gier 17 pkt. 19 st. br. 51:37, 3) Cracovia gier 16 pkt. 18 st. br. 36:33, 4) Wisła gier 17 pkt. 18 st. br. 34:33, 5) Polonia gier 16 pkt. 17 st. br. 36:35, 6) Pogoń gier 17 pkt. 17 st. br. 20:22, 7) A. K. S. gier 17 pkt. 16 st. br. 39:30, 8) Warszawianka gier 17 pkt. 15 st. br. 34:43, 9) Ł. K. S. gier 17 pkt. 12 st. br. 22:38, 10) Śmigły gier 17 pkt. 11 st. br. 27:47.

●

W meczach o wejście do Ligi **Garbarnia** rozgromiła w Krakowie **Śląsk 9:0 (4:0),** a w Łucku miejscowy **Polic. KS** zremisował z **Union Touring'iem 3:3 (3:1).**

Ostateczna tabela spotkań o wejście do Ligi wygląda następująco:

1) **Garbarnia** 6 gier 10 pkt., st. br. 25:9; 2) **Union Touring** 6 gier 9 pkt., st. br. 16:8; 3) **Śląsk** 4 pkt.; 4) **PKS** 1 pkt.

●

W kobiecym meczu tenisowym o puchar Królowej Marii Jugosłowiańskiej **Węgry** pokonały **Polskę 3:2.** .

●

W Rzymie rozegrane zostały **mistrzostwa Europy pań w koszykówce,** w których udział wzięło 5 państw: Francja, Litwa, Szwajcaria, Włochy i Polska.

Nasze panie zajęły w ogólnej punktacji **3 m.** za Włoszkami i Litwinkami, gorszym stosunkiem koszy przy równej ilości punktów. Polki przegrały jedynie w pierwszym spotkaniu **z Włoszkami 19:27,** pozostałe mecze wygrały pewnie, bijąc **Litwę 24:21, Szwajcarię 34:6** i **Francję 20:18.**

●

Nikkanen znowu poprawił **rekord świata w rzucie oszczepem,** uzyskując fantastyczny wynik **78,80 mtr.**



Bieg myśliwski Św. Huberta.



Prasa—Artyści 2:1. Kempa strzela bramkę dla Artystów.



PRZED MECZEM Z NORWEGIĄ

W niedzielę 23 bm. staje reprezentacja piłkarska Polski na stadionie W. P. w Warszawie do **trzeciego z rzędu** spotkania z Norwegami. Pierwszy kontakt nawiązaliśmy w roku 1926 z okazji wycieczki skandynawskiej. W owym czasie Norwegowie w futbolu „nie liczyli się", niemniej jednak wynik w Frederikstad brzmiał tylko **4 : 3 dla Polski.** Po raz drugi sprzęgnął nas los w walce o trzecie miejsce na Igrzyskach w Berlinie, z wynikiem **2 : 3 dla przeciwnika.** Bilans jest więc zupełnie wyrównany i mecz warszawski zadecyduje, kto chwilowo znajdzie się na górze.

Droga piłkarzy norweskich w ostatnich latach wykazuje wielkie podobieństwo do naszych własnych przejść. Gwałtowny wzrost ich znaczenia datuje się od r. 1936, kiedy to na Igrzyskach w Berlinie **wyeliminowali forytowanych Niemców.** Od tej chwili byli jednym z najpoważniejszych kandydatów do złotego medalu, podobnie jak... Polska.

Norwegowie załamali się niespodziewanie na amatorach włoskich, Polska — potknęła się o amatorów austriackich.

Mimo zawodu, jaki obie drużyny sprawiły wielu nowo pozyskanym zwolennikom z kół międzynarodowej publiczności, marka ich ustabilizowała się na poważnym poziomie. Polska potwierdziła dobrą opinię w szeregu sukcesów z silnymi przeciwnikami zagranicznymi. Norwegia zdobyła bezapelacyjnie supremację na Północy, gdzie dotychczas dominowała Szwecja a wcześniej jeszcze Dania.

W grach eliminacyjnych mistrzostw świata liczono na... Irlandię i Jugosławię, a zakwalifikowali się — Norwegowie i Polska! Później nasi przyjaciele północni mieli pecha; wylosowali w rundzie finałowej potężną Italię, z nami los nie obszedł się lepiej, przeznaczając jako przeciwnika legendarną Brazylię. Fachowa opinia miała ustalone zdanie. Włosi truchcikiem przejadą się po potomkach Wikingów, a murzyni południowej Ameryki zjedzą z kosteczkami poczciwych Sarmatów. A w rezultacie?

Łaskawy los, w postaci sędziego wiedeńskiego, uchronił Włochów przed przykrą kompromitacją, a Polska — omal nie zgotowała największej sensacji turnieju. W jednym i drugim wypadku dopiero przedłużenie zadecydowało o wyniku. Norwegowie otrzymali w nagrodę za wyśmienitą grę zaproszenie do Anglii, nas wyróżniano zaszczytnie w krytykach całego kontynentu.

Był to dla obu stron punkt przełomowy. Od czasu wycieczki francuskiej nie wiedzie się jakoś Norwegom, trudno też zachwycać się rezultatami polskich piłkarzy. Różnica tkwi tylko w tym, że Norwegowie grając słabiej, niż dawniej, mają wciąż jeszcze szczęście, czego dowodem choćby **pierwsze miejsce w turnieju nordyckim,** my jesteśmy bardziej konsekwentni, obniżywszy formę, zbieramy też cięgi.

Na tle krótkiego powyższego szkicu mecz niedzielny wzbudzić musi szczególne zainteresowanie. Jak też ułoży się teraz sytuacja? Czy nadal kroczyć będziemy niemal ramię przy ramieniu, czy też...

Norwegowie wierzą, że będąc w pełnej formie musieliby wygrać z Polakami. My jesteśmy niemal identycznego zdania, naturalnie — w kierunku odwrotnym. Bieda tylko w tym, że nikt nie potrafi odgadnąć, w jakim nastroju znajdą się obie drużyny w niedzielę.

Biorąc rzecz ściśle obiektywnie stwierdzić należy, że Norwegowie są przeciwnikiem trudnym. Mają oni wiele zalet piłkarzy angielskich, jednak dalecy są od szablonów, które wkradły się do licznych drużyn wyspiarskich. Prezentując się dobrze fizycznie rozwijają grę **szybką, pełną rozmachu i energii.** Akcje dalekie są od schematu. Podziwialiśmy w Berlinie pomysłowość niskiego Martinsena (dziś już nie gra), który kierując atakiem nadawał mu chwilami niemal... wiedeńskie piętno. Dziś na środku znalazł się gracz młodszy. Brynildsen, który potrafi nie tylko pójść na przebój, ale też dobrą współpracą z partnerami zdezorganizować obronę przeciwnika.

Pisząc słowa te nie znamy jeszcze składu Norwegów. Wprawdzie w Oslo po meczu ze Szwedami (3 : 2) zapowiadano reorganizację drużyny, wydaje nam się jednak, że nie przyniesie ona wielkich zmian. W ataku znajdzie się więc z całą pewnością Kvammen i Brustad. Kvammen przeniósł się ostatnio z pozycji prawego na lewego łącznika. Para ta jest szczególnie groźna. Norwegowie operują zresztą często skrzydłami i stąd akcje szybko przenoszą się na przedpole przeciwnika.

W tyłach hołdują zasadom angielskim. Środkowy pomocnik Eriksen okazał się godnym następcą słynnego Juvego. Rola stoppera wypada jednak w jego interpretacji dość swobodnie. Nie trzyma się kurczowo własnej bramki, potrafi też podejść do przodu i wesprzeć własną akcję ofensywną.

Obrońcy norwescy kryją skrzydłowych a boczni pomocnicy łączników przeciwnika, o tym powinni pamiętać stratedzy polskiej drużyny. W sposobie gry Norwegowie **przypominać będą Irlandczyków,** z tą jednak różnicą, że stać ich na bardziej pomysłowe zagrania.

Jakie są szanse polskiej drużyny?

Gra ona obecnie tak nierówno, że trudno o horoskop. W formie wiosennej mogłaby zgotować niespodziankę, podobnie jak z Irlandią (może nie w tak wysokim stosunku), na poziomie z Kamienicy — mecz mógłby się zakończyć przykrą porażką. Nie znamy zresztą w tej chwili ostatnich decyzji kapitana sportowego p. Kałuży, to też trudno pokusić się o ściślejsze porównanie przeciwników.

O.

Co robią inni?

Sport nie jest zbyt bogaty w dobra doczesne, toteż radzi sobie jak może. W modę weszło ostatnio subwencjonowanie wielkich imprez sportowych przez wypuszczanie specjalnych znaczków pocztowych. Tak było przed rokiem w Lahti, gdzie dzięki filatelistom powstała wspaniała nowa skocznia, tak też urządzono się w Belgradzie, chcąc znaleźć pokrycie kosztów Igrzysk Bałkańskich. Było to konieczne, gdyż publiczność belgradzka, która tysiącami zapełnia boiska, gdy w grę wchodzą bramki, dla lekkiej atletyki nie ma jeszcze wielkiego zrozumienia. Ponad 4000 — to było maksimum, jakie osiągnięto w szczególnie atrakcyjnych dniach.

•

Najbardziej wszechstronnym skoczkiem jest australijczyk Jack Metcalfe. W bieżącym roku uzyskał w skoku wzwyż 1,97 m, w skoku w dal 7,30 m, a w trójskoku zajął wynikiem 15,77 m pierwsze miejsce w liście najlepszych tegorocznych wyników świata. Do kompletu brak mu jeszcze skoku o tyczce.

•

Australijczycy tak bardzo rozgrzali się przeprowadzonymi w lutym w Sidney ogólnobrytyjskimi igrzyskami lekkoatletycznymi, że myślą obecnie o zorganizowaniu meczu międzykontynentalnego Australia — Ameryka, naturalnie u siebie. Zawody te przyczyniłyby się znakomicie do powiększenia czynnego i biernego zainteresowania się lekką atletyką.

•

Szwedzi odkryli nowy obiecujący talent. 19-letni Bo Erikson rzucił młotem 49,15.

Gdy mowa o „nieznanych", to niemałą sensację zgotował taki sobie Duńczyk Holger Hansen, który na zawodach w Sarpsborgu w Norwegii dokonał u schyłku sezonu tego, co nie powiodło się znacznie większym i znanym sławom. Holger Hansen pokonał mistrza Europy Ossendarpa na 100 m w czasie 10.6. Sensacja była tak wielka, że pisma norweskie nie mogą jej inaczej wytłómaczyć jak nieuwagą Holendra, który będąc pewny swego, obejrzał się za siebie, a tymczasem z drugiej strony wystrzelił pełnym pędem Duńczyk. Jak by nie było Holger ma wszelkie powody z zadowoleniem ułożyć się do zimowego snu.

•

Nauczyliśmy się w ostatnich latach nie lekceważyć sobie egzotycznych sportowców. Brazylia przekonała nas, że wieści, nadchodzące z kolorowych krajów nie zawsze są przesadzoną reklamą. Dlatego też zapiszemy sobie nazwisko pana Ortiza z Kuby, który przebiegł 100 m w czasie 10,6 a 200 m w 21,7. Nie są to czasy frapujące, ale w miejscowych warunkach, gdy jedyna bieżnia znajduje się w Havanie, wynik zasługuje na uwagę i kto wie, czy kubańczyka nie ujrzymy wśród klasyfikowanych na najbliższej olimpiadzie.

•

Niepowodzenia piłkarzy naszych wywołały naturalnie „krach nastrojów". Poddajemy się im zbyt szybko i w tych histerycznych momentach nie łatwo naturalnie o trzeźwy sąd. Tymczasem w sporcie zawsze i wszędzie istnieją wahania. Jesienią ub. roku i na wiosnę były sukcesy a obecnie wahadło uderza w przeciwną stronę. Nie tylko zresztą u nas.

Identyczne zjawisko obserwujemy u Szwajcarów i Norwegów. Szwajcarzy odnieśli na wiosnę frapujące wyniki. Pokonali Anglię, która zlała dokładnie Niemcy, a w miesiąc później wyeliminowali też Niemców z mistrzostw świata.

Norwegowie zachwycili już przed rokiem Arsenal, w meczu z Włochami w czasie mistrzostw świata spisali się tak wspaniale, że w krótkim czasie później otrzymali zaproszenie do Anglii.

Tymczasem co dzieje się obecnie? Szwajcaria wyjechała na rewanż do Dublina i... pogromca Anglików przegrał szpetnie z taką sobie Irlandią 0:4! A Norwegowie wygrali wprawdzie przed dziesięcioma dniami turniej Północy, zwyciężając Szwedów w Sztokholmie 2:1, jednak sami objektywnie przyznają, że mieli więcej szczęścia, niż zasług i poważnie niepokoją się gwałtownym spadkiem formy, który nie rokuje wielkich nadziei na występ w Newcastle.

Słaba forma innych jest naturalnie małym pocieszeniem. Stwierdzamy jednak fakty, by wykazać, że wahania są zjawiskiem naturalnym nie tylko u polskich piłkarzy.

•

Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie, o które ubiegaliśmy się tak gorąco, by później lekko zrezygnować, odbędą się w Zurychu i Bazylei. Niemcy i o tym pamiętają. Już dziś wydano zarządzenia, tyczące się przygotowań drużyny reprezentacyjnej. Na dziesięć dni przed turniejem zgromadzi się najlepszych hokeistów w obozie treningowym, gdzie w meczach sparringowych szlifować będą swą formę. Gracze którzy najbardziej się wyróżnią pojadą do Szwajcarii.

U nas chwalić Pana cicho jest nie tylko o przygotowaniach do turnieju światowego, ale i w ogóle o sezonie.

•

W Ameryce rozwinęła się nowa moda. Są nią skoki na sztucznym śniegu. San Francisco pozazdrościło Nowemu Jorkowi zeszłorocznych laurów na tym polu i wybudowało piękną skocznię. Rozpoczęły się już wstępne rozmowy ze skoczkami norweskimi i szwedzkimi.

•

O zimie będziemy jeszcze mówić i pisać aż do znudzenia. Wróćmy póki czas do cieplejszych rewirów.

Björn o pięknym zasłużonym sportowym nazwisku — Borg urodził się w południowej Szwecji w Nörköpingu i liczy w tej chwili 18 lat.

Björn, mimo młodocianego wieku, ma już sporą listę sukcesów w pływaniu. W roku bieżącym zdobył dwa mistrzostwa Europy, pięć tytułów krajowych i jeszcze kilka rekordów.

Ostatnio zbierał oklaski w Helsinkach, dokąd udał się samolotem o 10-ej rano, by o 5-ej po południu być z powrotem w Sztokholmie. W stolicy Finlandii wygrał 100 m w stylu dowolnym w czasie 59.2, a w piętnaście minut później ustanowił nowy rekord Szwecji na 100 m na wznak w czasie 1:08.4.

•

Turcja zeuropeizowała się nie tylko na polu fezów i zasłon kobiecych, ale również w sporcie kroczy ona siedmiomilowymi krokami.

W Ankarze ogłoszono ustawę podporządkowującą sport państwu. Mianowano dyktatora sportowego, któremu podlegać będą wszystkie sprawy związane z kulturą fizyczną. Do pomocy dodano mu przyboczną radę, złożoną z członków dotychczasowego tureckiego ZZ.

W Turcji liczą się z ogłoszeniem w najkrótszym czasie ustawy o powszechnym obowiązku służby sportowej, oraz wprowadzeniu sportu do przedsiębiorstw, które w wypadku zatrudniania 500 robotników byłyby zobowiązane do zakładania własnych placów gier.

•

Znany i zasłużony niemiecki działacz sportowy dr Diem, dyrektor Międzynarodowego Instytutu Olimpijskiego, wystąpił z projektem stworzenia Akademii olimpijskiej. Miałaby się ona mieścić w antycznej Olympii w Grecji. Rok rocznie gromadziliby się tam młodzieńcy, wybrani ze wszystkich krajów, o odpowiednim poziomie kultury ducha i ciała. Dr Diem chciał-

by zaprosić tam również młodych artystów, by zapoznawali się ze skarbami antycznej kultury a równocześnie wchłaniali tajniki nowoczesnego sportu.

Kursiści ci mieszkaliby w namiotach i żywiliby się ze wspólnego skromnego kotła, by w ten sposób przepoić się prawdziwym olimpijskim duchem. Rządy poszczególnych państw oraz wielkie zakłady naukowe mogłyby dla tych celów ufundować odpowiednie stypendia.

Poza tym zwraca się dr Diem do rządu greckiego z apelem, by zapalono znów olimpijski znicz, nad którego stałym ogniem miałaby czuwać honorowa straż młodzieży greckiej. Przy ołtarzu tym zapalanoby pochodnię, by w biegu sztafetowym przenieść płomień olimpijski do każdorazowego miejsca Igrzysk.

Jedna z gazet zagranicznych zapytuje, nie bez słuszności, czy Międzynarodowy Komitet Olimpijski nie ma doprawdy w tej chwili ważniejszych problemów, jak podtrzymywanie ognia olimpijskiego? Czy nie należałoby raczej zająć się wreszcie poważnie sprawą amatorstwa i uregulowania stosunków pomiędzy poszczególnymi związkami!

•

Wszystko jest znikome. Szczególnie sława w sporcie. Nie tak dawno jeszcze Nurmi był bożyszczem a nazwisko jego symbolem. Dziś omal, że zapomniano o wielkim Finie. Żyje w Helsinkach, sprzedaje krawaty, stał się rozmowniejszy, udziela wywiadów i spogląda na zegarek tylko wówczas, gdy... chce pozbyć się natrętnego rozmówcy.

Z wspaniałych rekordów Nurmiego nie pozostało wiele. Utrzymał się tylko jeden. Właśnie 7 października minęło dziesięć lat od chwili gdy Nurmi na torze berlińskim wynikiem 19,210 km ustanowił nowy rekord świata w biegu godzinnym. Zamachy na ostatnią pozostałość po wielkim biegaczu dotychczas się nie udawały. Przyjdzie jednak chwila, w której i ten rekord zniknie z tablicy światowej.

•

Rekord Mäki na 10.000 m (30:02 w Tammersforsie) narobił sporo szumu. Świadkami triumfu następcy Nurmiego, jak ochrzczono ogólne zwycięzcę, było tylko 2000 widzów. Stawka była wyborowa, znalazł się w niej też dotychczasowy posiadacz rekordu Salminen, który skończył jednak na piątym miejscu.

•

Salminen szybko przebolał stratę i bynajmniej nie poddał się depresji. W kilka dni później wygrał bieg na 10 mil angielskich (16,090 m), w czasie 51:16 m. bijąc Pentti i Tamillę. Pentti wychował się w Ameryce, co nie wpłynęło jednak ujemnie na jego wrodzone fińskie zdolności długodystansowe. Miał on tylko o dwie sekundy gorszy czas i da jeszcze o sobie znać.

•

Zawierucha polityczna, jaka zaciążyła w ostatnich tygodniach nad Europą, odbija się też na sporcie. Wielu z czynnych sportowców znalazło się w szeregach zmobilizowanych armii, to też trzeba było albo odwoływać imprezy, albo wystąpić w niekompletnym składzie. Biorąc pod uwagę nadzwyczajne warunki, Francuski Związek Piłki Nożnej anulował, zupełnie słusznie, jedną kompletną rundę mistrzostw, przeprowadzonych przez wiele drużyn z rezerwowymi graczami, gdyż pierwsza linia omal nie znalazła się na serio — w pierwszej linii!

PRACE INWESTYCYJNE W ZAKOPANEM

Prace inwestycyjne szybkim krokiem posuwają się naprzód. Budowa schroniska na Kalatówkach postępuje niezwykle szybko. Gmach wyciągnięto już pod dach, a niebawem przystąpi się do ostatecznej obróbki wnętrz. Podobnie przebudowa ulic jest na ukończeniu. Kolej górska na Gubałówkę będzie w każdym razie ukończona przed sezonem zimowym. Wyciągi narciarskie w kotle Kasprowym i na Długi Upłaz w Chochołowskiej też będą mogły być z początkiem zimy oddane do użytku publiczności.

TERMINARZ IMPREZ PŁYWACKICH W BASENACH KRYTYCH

Komitet wykonawczy Polskiego Związku Pływackiego ustalił następujący terminarz imprez zimowych:

Styczeń 1939 r.:

3 tygodniowy obóz dla waterpolistów pod kierunkiem trenera węgierskiego Lajosa Rayki; 3 tygodniowy obóz dla skoczków; rozgrywki międzyokręgowe o nagrodę młodych, ufundowaną przez Państwowy Urząd WF i PW.

Luty:

Turniej water-polo dla drużyn ligowych o nagrodę przechodnią.

11 i 12 marca:

Mistrzostwa w hali krytej.

HUMOR



— Kto mówi, że brak nam old-boy'ów?

Redakcja, tel. 8-63-66 i Administracja, tel. 9-95-62. Warszawa, ul. Myśliwiecka 3

Prenumerata roczna — 12 zł, dla klubów zrzeszonych w Zw. Pol. Zw. Sport. — 10 zł, kwartalna — 3 zł, miesięczna — 1 zł.
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr 118 **Konto P. K. O. 13680**

Ogłoszenia: przed tekstem 1/1 300 zł, 1/2 150 zł, 1/4 80 zł, 1/8 50 zł. Za tekstem 1/1 250 zł. 1/2 130 zł, 1/4 75 zł, 1/8 40 zł.

Redaktor przyjmuje od 13 — 15.

REDAKTOR: WIKTOR JUNOSZA-DĄBROWSKI WYDAWCA: „KULTURA FIZYCZNA" sp. z ogr. odp.

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA" W-wa, Sienna 15, tel. 675-93